

Marek Karczmarzyk

Pomarańczowa zima

Palestra 50/1-2(565-566), 179-185

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

POLSCY ADWOKACI Z MISJĄ NA UKRAINIE

Marek Karczmarzyk

POMARAŃCZOWA ZIMA

Gdy przeczytałem treść uchwały Naczelnej Rady Adwokackiej o udzieleniu pomocy Ukrainie, nie zastanawiałem się ani chwili. Razem z wypróbowanym towarzyszem rajdów adwokackich Lechem Toporkiem zgłosiliśmy gotowość do wyjazdu jako międzynarodowi obserwatorzy powtórzonej drugiej tury wyborów. Nasze nazwiska zostały przekazane do NRA przez dziekana ORA w Gdańsku.

Początkowo niepokoił się, czy z uwagi na znaczną liczbę – jak sądziliśmy – chętnych do wyjazdu zostaniemy zakwalifikowani, jednakże telefon do NRA rozwił nasze obawy. Grupa polskich adwokatów była niewielka.

Trudno mi było wytłumaczyć bliskim, że święta spędzę poza domem. Jednak uczucia, jakich doznawałem śledząc telewizyjne relacje z Ukrainy, cofały mnie do wspomnień z roku 1989, gdy jako maturzysta, przygotowujący się do egzaminów na wydział prawa, po raz pierwszy mogłem poczuć świadomość, że coś ode mnie zależy, że uczestniczę w procesie, którego nic nie powstrzyma. Wspominając tamten nieodległy przecież czas, gdy kosztem kilku nieprzerobionych tematów kleiłem nocami plakaty, powtarzałem często słowa Wieszcza: „ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu”.

Czułem, że słowa te mogą zmaterializować się znowu tej zimy.

Przekonałem żonę.

Po kilku dniach nerwowego oczekiwania otrzymuję wiadomość, że zostaliśmy włączeni do grupy obserwatorów. Szkolenie ma odbyć się tego samego dnia. Nasz lekki niepokój budzi jedynie okoliczność, że organizatorem grupy, do której zostaniemy dołączeni, jest pewna partia polityczna, znana z niechęci niektórych jej członków do adwokatury. No cóż, postanowiliśmy wznieść się ponad uprzedzenia, pamiętając, że naszym głównym celem jest być jednym z drobnych kamyków, a być może ziarenek piasku, po których toczy się lawina.

Telefonuję do kolegi. On nic nie wie. Poumawiał już klientów w kancelarii. Ustalamy, że jeżeli nie zdąży, przekażę mu informacje, które otrzymam w trakcie spotkania. Na szczęście w sali Wydziału Politologii Uniwersytetu Gdańskiego spotykamy się razem. Na szczęście, gdyż jak dowiedzieliśmy się na miejscu, podpisanie li-

sty obecności było warunkiem uczestnictwa w wyjeździe. „Szkolenie” ogranicza się do przekazania informacji o godzinie wyjazdu i punktach docelowych. W przypadku naszej grupy ma być to Odessa i Mikołajew. Robi się ciekawie. Oba miasta są raczej „niebieskie”, a w Mikołajewie 30% głosów przypadało na wyborców głosujących w domach. Resztę informacji mamy otrzymać w terminie późniejszym.

W nocy z 23 na 24 grudnia 2004 r. wyjeżdżamy. Siedemdziesięciosobowa grupa obserwatorów rezerwuje korytarz zatłoczonego pociągu do Warszawy. Potem przesiadka do Przemyśla i dalej autobusem do Lwowa. Po drodze otrzymujemy broszurkę o ordynacji wyborczej Ukrainy. Na miejscu jesteśmy już po zapadnięciu zmroku. Okazuje się, że nie dotarły jeszcze identyfikatory dla obserwatorów. Nasza zaś grupa, wbrew wcześniejszym informacjom, nie zostanie skierowana do Odessy. Pozostajemy we Lwowie. O tym, gdzie pojedziemy, dowiemy się po Wigilii.

Zostajemy przewiezieni do Rudna, na przedmieściach Lwowa, gdzie mieści się greckokatolickie seminarium duchowne. Obecnie kształci ono około 160 alumnów z Ukrainy. Uczelnia znajduje się w byłym kompleksie wypoczynkowym pionierów, przekazany przez władze w latach dziewięćdziesiątych jako rekompensata za zabraną w 1946 r. na potrzeby uniwersytetu siedzibę seminarium. Zostajemy zakwaterowani w pokojach seminarzystów. Pomieszczenia są skromne, całość jednak sprawia wrażenie bardzo schludne. Zanim zdążyliśmy się rozpakować, pukając cicho do drzwi wszedł kleryk z pytaniem, czy niczego nam nie brakuje. Ta sytuacja powtarza się kilkakrotnie.

Czujemy ogromne napięcie i powagę tych ludzi. Początkowo zachowanie to biorę za skrępowanie, czy też nieco powściągliwą gościnność. Wigilia wszystko wyjaśnia.

Przemawia kardynał Lubomyr Huzar. Drobny, skromnie ubrany mężczyzna. Mówi po polsku, jak ogromnie wszyscy są nam wdzięczni za zadanie, jakiego się podjęliśmy, za trud, który będziemy ponosić. Podkreśla, że od nas zależy przyszłość jego kraju. Jego słowa są proste i szczerze: „Zapewniam was, że ta Wigilia jest daleko od domów, ale tej Wigilii nie zapomnicie do końca życia” – kończy.

Dzielimy się opłatkiem.

Przed nami w drewnianych misach potrawy wigilijne: śledź, pierogi, barszcz, kutia. Po chwili zaczynamy śpiewać kolędy. Dołączają klerycy. My jedną po polsku, oni drugą po ukraińsku. Dochodzi do dialogu. Kolejne zwrotki kolędy śpiewamy na zmianę, w obu językach. Rozglądam się wokół. Każdy z nas błądzi gdzieś wzrokiem po ścianach. Ja też nie mogę spojrzeć Lechowi w oczy. Muszę na chwilę wyjść.

Po powrocie dowiadujemy się, że jedziemy do Łucka. Następnego dnia postanawiamy wykorzystać krótki czas pozostały do odjazdu na zwiedzanie Lwowa.

W mieście kłują w oczy pomarańczowe szaliki, wstążki, czapki. Kto nie ma tych akcesoriów, owija sobie przedramię pomarańczową folią. Barwa ta dominuje na samochodach, chodnikach, pomnikach. Na wzniesionej dłoni postaci symbolizującej niepodległość Ukrainy ktoś zawiesił flagę i pomarańczową chustkę. Pomnik jest wysoki. Trzeba było użyć drabiny. Na ulicach dużo milicji.

Wigilia.
Pierwszy od lewej
kard. Lubomyr Huzar,
stoją seminarzyści
śpiewający kolędy



Zastanawiamy się, czy sensem był przyjazd do tej części kraju, gdzie miażdżące poparcie ma Wiktor Juszczenko. Przecież w takiej sytuacji trudno nam się spodziewać naruszeń wyborczych. Dzielimy się swoimi spostrzeżeniami z napotkanymi ludźmi. Przekonują nas, że jesteśmy tu właśnie po to, żeby zaświadczyć, że wybory były uczciwe. Ruszamy dalej. Po trzech godzinach dojeżdżamy do Łucka. Zostajemy zakwaterowani w hotelu Łuczewsk.

Nadal nie wiadomo, czy otrzymamy akredytacje. Podobno są kłopoty po stronie ukraińskiej. Wszystko ma rozstrzygnąć się rano w dniu wyborów. Tymczasem wychodzimy na miasto, odwiedzić lokalny sztab Juszczenki. Pomimo braku jakiegokolwiek informacji na ulicach, każdy z przechodniów z uśmiechem wskazuje nam kolejne etapy drogi. Błądząc po nieoświetlonych zaułkach, docieramy do hali magazynowej, przerobionej na prowizoryczne biuro.

W sztabie trwa gorączkowa praca. Ktoś wysyła fakсы, inny nosi olbrzymie pudła, młode dziewczyny segregują jakieś listy, a w kącie, za przepierzeniem trwa zebranie. Przyjmują nas bardzo serdecznie, otrzymujemy towar w Łucku deficytowy – pomarańczowe szaliki. Po krótkiej chwili rozmowy żegnamy się. Nie chcemy przeszkadzać, a poza tym zmęczenie poprzednich dwóch dni już zaczyna dawać się we znaki. Jutro trzeba wstać wcześniej. Szaliki chowamy. Mamy być neutralni.

Tej nocy budzę się kilkakrotnie. Pakuję do torby dyktafon, dwa aparaty i latarkę. Mój status obserwatora (o ile dostanę akredytację) pozwala mi na robienie zdjęć i dokumentowanie aktu wyborczego wszelkimi dostępnymi środkami audiowizualnymi. Co do latarki – przestrzegano nas, że w czasie poprzedniej tury wyborów niejednokrotnie zdarzały się dziwne awarie oświetlenia, co pozwalało na manipulację kartami do głosowania.

O szóstej rano zbiórka. Okazuje się, że nie wszyscy otrzymali akredytacje. Władze ukraińskie przyznały je jedynie około jednej trzeciej osób, które przyjechały do Łucka. Jak się później dowiedzieliśmy, akredytacji nie otrzymała żadna z osób, któ-

re pojechały do Odessy. Na szczęście razem z Lechem znajdujemy się na liście i za chwilę odbieramy małe niebieskie kartoniki – identyfikatory międzynarodowego obserwatora.

Nie możemy iść razem. Będziemy pracować w parach z ukraińskimi przewodnikami. Będą nimi obserwatorzy ze strony Juszczenki lub dziennikarze. Ordynacja wyborcza dopuszcza do obecności w lokalu wyborczym jedynie te kategorie osób.

Dowiaduję się, że jest możliwość wyjazdu na prowincję. Decyduję się natychmiast. Wraz z czterema osobami z Polski wsiadamy do mikrobusu, mającego nas zawieźć do Kiwerców – miejscowości położonej kilkanaście kilometrów pod Łuckiem. Już prawie ósma. Jest jeszcze mrok. W ciemnościach widzę zarysy małych domów stojących gęsto obok siebie. Gdzieś w dali majaczą kopuły cerkwi i wieża kościoła. Jest już po otwarciu lokali wyborczych. Mój opiekun – lokalny dziennikarz – zabiera mnie do komisji numer 137 w okręgu wyborczym 23. Komisja znajduje się w jedynym w mieście gimnazjum, w sali gimnastycznej. Rejestrujemy się u przewodniczącej komisji. Uwagę moją zwraca prowizoryczny bufet w korytarzu. Na ladzie oprócz kiełbas, suszonych ryb i słodyczy stoją różnego rodzaju alkohole. Z ustawionego dalej przenośnego magnetofonu dudni ukraińska muzyka dyskotekowa. Przyzwyczajony do ciszy naszych komisji, zwracam na to uwagę mojemu przewodnikowi. Uspokaja mnie. Wszystko w porządku, to jest dozwolone. A muzyka? Przecież mamy święto demokracji. Nastrój w komisji senny. Dopiero przychodzą pierwsi wyborcy. Mój przewodnik przedstawia się. Ma na imię Jurij, jest lekarzem, psychiatrą sądowym! Na moje pytanie dotyczące jego legitymacji dziennikarskiej wyjaśnił, że tylko w ten sposób mógł obserwować wybory. Tego dnia na Ukrainie było bardzo dużo jednodniowych dziennikarzy.

Mam czas rozejrzeć się po komisji. Na ścianie naprzeciw wejścia wisi flaga narodowa. Pośrodku trzy duże urny z przezroczystego plastiku i wykonane z tego samego materiału trzy urny małe. Przezroczyste urny zostały wprowadzone dopiero w tej turze wyborów. Osoba chcąca oddać głos podpisuje się w spisie wyborców, po czym podpisuje kartę do głosowania w dwóch miejscach: na karcie i jej kuponie kontrolnym. Kupon kontrolny jest oddzierany od karty i pozostaje w aktach komisji. Aby głos był ważny, na karcie do głosowania wyborca musi postawić jakikolwiek znak w obrębie kwadratu umieszczonego obok nazwiska kandydata lub też obok stwierdzenia „nie wybieram żadnego z kandydatów”. Może być to nawet kwiatek czy słoneczko, byleby znajdował się w obrębie kwadratu. Nieważny jest głos, jeżeli na karcie nie postawiono żadnego znaku, dokonano innego oznaczenia wyboru kandydata (na przykład skreślono nazwisko), zakreślono więcej niż jeden kwadrat czy też kartę wyborczą uszkodzono. W komisji znajduje się sześć kabin do głosowania. Obserwuję ludzi. Przychodzą całymi rodzinami. Każdy wchodzi do kabiny.

Uwagę moją przykuwa młody, wysportowany, prawie dwumetrowy chłopak ubrany w czarną skórzaną kurtkę. To obserwator od Janukowycza. Stoi za plecami członków komisji wyborczej, każdemu zagląda przez ramię. Dostrzegając mój wzrok, kieruje na mnie cyfrową kamerę. Widzę, jak obiektyw wysuwa się, aby do-



Lokal wyborczy
w miejscowości Ozierno

kładnie zarejestrować szczegóły mojego wyglądu. Rozbawiony chwytam za aparat i szybko robię mu zdjęcie. Obaj wybuchamy śmiechem.

Zgodnie z ordynacją, osoby mające status inwalidy i nie mogące się poruszać mogą głosować w domu. Po wcześniejszym zarejestrowaniu, przedstawiciele komisji wyborczej w liczbie dwóch osób idą do domu, w którym mieszka ta osoba. Dowiaduję się, że właśnie podczas takiego trybu głosowania zanotowano najwięcej nieprawidłowości. Na terenie działania mojej komisji jest 46 osób uprawnionych do głosowania w taki sposób. Dowiaduję się, że za chwilę wydelegowani członkowie komisji pójdą odwiedzać domy. Rozglądam się po sali. Ludzi coraz więcej. Spokojnie. Postanawiam przyjrzeć się wyborcom w domach. Członkowie komisji biorą urnę. Wsiadamy do samochodu i jedziemy przez Kiwerce. Wreszcie mam szansę przyjrzeć się dokładnie miastu. Jest odwilż. Na dziurawych, nierównych ulicach lód przemieszany z błotem. Wiele ulic nie ma utwardzonej nawierzchni. Idziemy do pierwszego domu. Jest cicho, słychać jedynie stłumiony odgłos chóru cerkiewnego, pianie kogutów. Gdzieś tam leniwie spacerują psy. Drzwi otwiera nam zażywna kobieta w wieku około pięćdziesięciu lat. Okazuje się, że to nie ona głosuje, tylko jej dziewięćdziesięcioczworoletnia matka. Kobieta leży na łóżku. Nie może chodzić. Już nie pisze. Za nią podpisuje się córka (to dozwolone). Kobieta nakłada okulary i biorąc do ręki kartę do głosowania zaczyna płakać. Na sam moment głosowania komisja wychodzi do przedpokoju. Po chwili idziemy dalej. Odwiedzamy podobne skromne obejścia. W niektórych szczekają psy, po płotach przechadzają się koty. Inwalidzi są z reguły ludźmi biednymi. Dlatego też ich poziomowi życia nie mogę uznać za reprezentatywny dla mieszkańców tego miasta. Jednak podobieństwo wszystkich mijanych domów pozwala na ostrożny wniosek, że nie różni się on zbyt wiele. Do końca życia utkwi mi jednak w pamięci wizyta w biednym domku, prawie lepiance. Uprawnionymi do głosowania było dwoje starszuchów żyjących samotnie. Kobieta zaczęła płakać, powtarzając: „czarna nędzka, mąż nie

chodzi, ja inwalidka, dla nas nic już wybory nie zmieniają, ale dla innych...". Gdy zainiosła kartę mężowi, rozejrzałem się po kuchni. Dostrzegłem jeszcze jednego domownika. Gruby biały kot przeciagnał się na piecu. Nie miał przedniej łapy.

Przez trzy i pół godziny udało nam się odwiedzić jedynie dwadzieścia osób, pomimo iż dysponowaliśmy samochodem, a odległości były niewielkie. Członkini komisji zwraca mi uwagę, że w liczącym sześćset tysięcy mieszkańców Mikołajewie jedna trzecia wyborców głosowała w tym trybie. Uznaję sobie, jak duża była skala nadużyć w tym mieście.

Proszę o odwiezienie do komisji. Odwiedzamy po drodze jeszcze kilka domów. W jednym ponadsiemdziesięcioletni mężczyzna, dowiadując się kim jestem i skąd pochodzę, chce ucałować moją dłoń. Oczywiście poprzestaję na uścisku. Przez chwilę patrząc w jego oczy, chcąc nie chcąc, pomyślałem, kim był w latach czterdziestych. Nie mogę zapomnieć, że znajduję się na Wołyniu. Próbuję znaleźć w jego spojrzeniu jakikolwiek ślad tamtych dni. Dostrzegam jedynie wdzięczność.

Po powrocie do komisji lekkie zamieszanie. Jurij wyjaśnia mi, że to wyborca, którego dane nie zgadzają się ze stanem rzeczywistym. Musi udać się do sądu, gdzie zostanie rozstrzygnięte, czy może uczestniczyć w wyborach w tej komisji. Pytam półżartem, czy przyjechali już górnicy z Doniecka. Jest spokojnie. Wykorzystam ten czas na odwiedzenie sądu i kilku komisji wyborczych zlokalizowanych we wsiach wokół Kiwerców.

Idziemy z Jurijem do sądu. Budynek niczym nie wyróżnia się wśród zlokalizowanych wokół lokali sklepowych. W środku stara boazeria. Cicho i spokojnie. Odwiedzam dyżurującego Prezesa Sądu. Jak na razie tylko jedna osoba została zweryfikowana w spisie wyborców.

Wsiadamy do samochodu. Gdy wychodzę z gmachu, Jurij, znacznie ode mnie starszy, przepuszcza mnie pierwszego. Tak czynią wszyscy. Na moje protesty odpowiadają, że jestem przecież gościem.

Wjeżdżamy w las. Mijamy zlikwidowaną jednostkę atomowych rakiet balistycznych.

Pierwsza komisja – wieś Ozero. Szkoła, nastrój uroczysty. Widzę w biednie ubranych ludziach ogromną godność i powagę. Komisja wręcz celebrowała swoje zadanie. Myślę, że nie tylko dlatego, że się tutaj zjawilem. Po kilku minutach ruszamy dalej. W ten sposób odwiedzimy jeszcze cztery lokale wyborcze. Jeden z nich zlokalizowany jest w drewnianym budynku wiejskiej świetlicy. Na środku pomieszczenia stoi wielka elektryczna nagrzewnica. We wszystkich komisjach nastrój ten sam, wszędzie stoją prawidłowo zabezpieczone urny wyborcze. W jednej moją uwagę zwraca urna zapieczętowana z jednej strony. Przewodnicząca komisji z przejęciem tłumaczy mi sposób zabezpieczenia – przewleczony przez śruby mocujące wieko skrzyni sznurek, którego węzeł jest zapieczętowany. Palcami wodzi wzdłuż sznurka, pokazując, że nie ma on supłów i zapętleń. Patrząc na tych ludzi chcę wierzyć, że nie doszło do żadnego naruszenia. Jednak sięgam do ordynacji. Z ulgą stwierdzam, że wszystko jest w porządku. Żegnamy się serdecznie.

Powoli trzeba wracać. Jest już prawie osiemnasta. Za dwie godziny zamknięcie lo-

kali wyborczych. Jurij mówi, że jeżeli miałyby dojść do zakłóceń wyborów, to właśnie teraz. Przed naszą komisją dodatkowy patrol milicji w nieoświetlonej ładzie.

Przychodzi coraz mniej osób. Urny są zapełnione do połowy. Podchodzę do jednej z nich, próbując obejrzeć głosy. Wszędzie krzyżyki postawione są przy nazwisku Juszczenki.

Wreszcie dwudziesta. Zamknięcie lokalu wyborczego. Obchodzę pomieszczenia. Zamknięto nawet okno w ubikacji. Przewodnicząca komisji ogłasza koniec głosowania. Na połączone stoły łąduje zawartość urn wyborczych. Udziela mi się nastrój chwili. Chciałbym pomóc drobnym, zmęczonym kobietom nieść urny, ustawić stoły. Jednak międzynarodowy obserwator nie ma prawa dotykać urn i brać udziału w procesie wyborczym.

Członkowie komisji zaczynają liczyć głosy. Najpierw sprawdzają ogólną liczbę głosów i zgodność ich liczby z liczbą kart kontrolnych. Potem każdy bierze część kart i liczy je. W końcu wyniki są sumowane. Karty niezucyte zostają przedarte i zapakowane do osobnej koperty.

Głosy wątpliwe odkładane są na bok. Za chwilę komisja, posługując się podręcznikiem wyborów, będzie głosować nad ich ważnością. Z żalem uznane za nieważne zostały karty, na których wykreślono nazwisko Janukowycza lub postawiono dwa krzyżyki, pisząc przy oznaczeniu Janukowycza „anulowano”. Jeszcze tylko sporządzenie protokołu. W mojej komisji za Juszczenką głosowało około dziewięćdziesiąt cztery procent wyborców. Podchodzi do mnie przedstawiciel Janukowycza. Pyta, czy nie zauważyłem naruszeń ordynacji. Zgodnie z prawdą odpowiadam, że nie. Odpowiada, że jego raport też będzie podobny. Wybory w tej komisji były przeprowadzone uczciwie.

Godzina dwudziesta druga. Wychodzimy z Jurijem na zewnątrz. Mijają nas milicjanci niosący do samochodu opieczętowane koperty z kartami wyborczymi. Mój opiekun dziękuje mi serdecznie. Podjeżdża ten sam mikrobus.

Kiwerce żegnają mnie tak, jak witały: mrokiem i ciszą. Lecz płatki śniegu wolno opadające na ziemię zdają się w świetle docierającym z okien domów przybierać barwę pomarańczową.

*

Lech Toporek

WARTO BYŁO

Zafascynowała mnie „pomarańczowa rewolucja”, która nagle wybuchła na Ukrainie po 21 listopada 2004 r., tj. po II turze wyborów prezydenckich, której wynik niewątpliwie został zniekształcony powszechnymi nieprawidłowościami, stwierdzonymi podczas procesu wyborczego.